

DZIEWCZYNA



SOPHIE

„Najpiękniejsze rzeczy w życiu są niewidzialne.”
Antoine de Saint-Exupéry

Przedmowa

Pierwszy raz, Drogi Czytelniku, będziesz mógł poznać mnie. Cała wyidealizowana postać Sophie jest tutaj nieobecna, tutaj piszę jako Natasza.

Ten zbiór opowiadań to pewnego rodzaju terapia. Przełamam swoje emocje na kartkę, te związane z mikronacjami, ale i te realowe. W każdym z opowiadań odnajdziesz część mnie, moich przeżyć, przemyśleń. Może będziesz drugą osobą, która mnie zrozumie?

Każde opowiadanie oparte jest realnym wydarzeniem z mojego życia, chociaż muszę przyznać, że prawda jest tutaj nieco zabarwiona. Nie traktuj ich jednak, Drogi Czytelniku, jako biografie. Zanurz się w moich słowach, rozgość się na stronach tej książki i przede wszystkim czerp z tego przyjemność, bo to w książkach jest najważniejsze.

Kończąc już mój wywód, zapraszam Cię do lektury...

Dla anielskiej, inteligentnej i pięknej C.
Od autorki

Zagubiona

LAS SZUMIAŁ TAK SAMO JAK KIEDYŚ, ALE ONA SŁYSZAŁA W TYM SZUMIE COŚ OBCEGO. STAŁA NA SKRAJU POLANY, GDZIE JESZCZE PIĘĆ LAT TEMU STAŁA JEJ MAŁA CHATKA – TERAZ ZOSTAŁY PO NIEJ TYLKO PRZEGNIŁE BELKI I ZAROŚNIĘTY MCHEM FUNDAMENT. KIEDYŚ ZNAŁA KAŻDE DRZEWO, KAŻDĄ ŚCIEŻKĘ, KAŻDY ZAKRĘT STRUMIENIA. TERAZ WSZYSTKO WYDAWAŁO SIĘ INNE.

TERAZ STAŁA NA SWOJEJ DAWNEJ POLANIE I CZUŁA SIĘ JAK INTRUZ. KIEDYŚ BIEGAŁA BOŚO, CZUJĄC KAŻDY KAMIEŃ I KORZEŃ POD STOPAMI. TERAZ BAŁA SIĘ ZDJĄĆ BUTY.

SARNA WYSZŁA NA POLANĘ, SPOJRZAŁA NA NIĄ I ZATRZYMAŁA SIĘ W PÓŁ KROKU. DZIEWCZYNA PAMIĘTAŁA, JAK KIEDYŚ ZWIERZĘTA SIĘ JEJ NIE BAŁY – BYŁA CZĘŚCIĄ LASU, JEDNYM Z JEGO DZIECI. TERAZ SARNA PRYCHNĘŁA NERWOWO I ODBIEGŁA W GĘSTWINĘ.

"PRZEPRASZAM", SZEPNĘŁA DO LASU, CHOĆ NIE WIEDZIAŁA DOKŁADNIE ZA CO PRZEPRASZA.

LAS SZUMIAŁ TAK SAMO JAK KIEDYŚ, ALE ONA SŁYSZAŁA W TYM SZUMIE COŚ OBCEGO.



Niepewna

PO RAZ KOLEJNY PRZECZYTAŁA OSTATNI LIST OD NIEZNAJOMEJ. ZNAŁA JUŻ NA PAMIĘĆ KAŻDE SŁOWO, KAŻDY ZAKRĘT JEJ POCHYLEGO PISMA. LEŻĄC NA ŁÓŻKU, TRZYMAŁA KARTKĘ NAD GŁOWĄ, OBSERWUJĄC, JAK ŚWIATŁO PRZEBIJA SIĘ PRZEZ PAPIER, TWORZĄC MOZAIKĘ CIENI.

"DZISIAJ OGLĄDAŁAM ZACHÓD SŁOŃCA," PISAŁA NIEZNAJOMA, "I POMYŚLAŁAM, ŻE CHCIAŁABYM MÓC NARYSOWAĆ CI JEHO KOLORY. ALE MOŻE LEPIEJ, ŻE NIE POTRAFIĘ – MOŻESZ WYOBRAZIĆ SOBIE WŁASNE ODCIENIE, STWORZYĆ WŁASNĄ WERSJĘ TEGO NIEBA."

SIEDZĄC W SWOIM MAŁYM POKOJU, PRÓBOWAŁA WYOBRAZIĆ SOBIE OSOBĘ PO DRUGIEJ STRONIE TYCH LISTÓW. ZNAŁA TYLKO KILKA SZCZEGÓŁÓW – ŻE MALUJE, ŻE WSTAJE WCZEŚNIE RANO, ŻE JEJ WŁOSY SĄ CIEMNE I PROSTE. TE FRAGMENTY UKŁADAŁY SIĘ W OBRAZ, ALE POZOSTAWAŁ ON NIEWYRAŻNY, JAK FOTOGRAFIA ZROBIONA PRZEZ ZAPAROWANĄ SZYBĘ.

PIERWSZE LISTY BYŁY JAK TANIEC ZE ZAWIĄZANYMI O CZAMI – OSTROŻNE KROKI. PYTANIA O ULUBIONE KSIĄŻKI, FILMY, MIEJSCA. Z CZASEM SŁOWA ZACZĘŁY PŁYNAĆ SWOBODNIEJ, JAK STRUMIEŃ ZNAJDUJĄCY WŁASNĄ DROGĘ MIĘDZY KAMIENIAMI. PISAŁY O SNACH, O LĘKACH SCHOWANYCH W SZUFLADACH, O PRAGNIENIACH, KTÓRYCH NIE WYZNAŁY NAWET NAJBLIŻSZYM PRZYJACIÓŁOM.

W odpowiedzi na opowieści o malarstwie wysyłała wiersze. Najpierw cudze – bezpieczne w swojej zapożyczonej formie. Potem własne, pisane późnymi wieczorami, gdy świat zwalniał na tyle, by mogła usłyszeć własne myśli. Łapała się na tym, że każde słowo wybierała myśląc o tej jednej czytelniczce, o jej oczach śledzących wersy.

"Twoje słowa," napisała Nieznajoma w ostatnim liście, "czasem wydają się być bliżej niż moje własne myśli."

Wstała od biurka i podeszła do okna. Na parapecie stał stos listów – chronologicznie ułożona historia ich korespondencji. Każda koperta nosiła ślady wielokrotnego użytkowania, każda strona była jak mapa prowadząca do miejsc, których istnienia wcześniej nie podejrzewała.

Wzięła czysty papier. Pierwszy akapit zawsze był najtrudniejszy. Co napisać? Jak ubrać w słowa to dziwne uczucie, gdy widzi coś pięknego i pierwszą myślą jest "muszę jej o tym opowiedzieć"? Jak opisać to ciepło w piersi, gdy czyta jej listy, to uczucie jednocześnie znajome i zupełnie nowe?

Może to wszystko istniało tylko w jej wyobraźni. Może przypisywała zbyt wielkie znaczenie zwykłej przyjaźni listownej. Może gdzieś w innym mieście jej korespondentka pisała podobne listy do kogoś innego, dzieliła się swoimi zachodami słońca z kimś innym.

A jednak każdego ranka sprawdzała skrzynkę pocztową z bijącym sercem. Każdy list czytała najpierw szybko, pochłaniając słowa, a potem powoli, smakując każde zdanie. Szukała w nich odpowiedzi na pytania, których nie potrafiła zadać nawet sobie.

Na kopercie starannie wykaligrafowała adres – znała go już na pamięć, ale i tak za każdym razem sprawdzała, czy nie popełniła błędu. Jej palce musnęły znaczek pocztowy – mały prostokąt papieru, który miał przenieść jej słowa przez setki kilometrów, do rąk kogoś, kto był jednocześnie tak daleko i tak blisko.



Bezradna

Wieczór powoli pochłaniał ulicę, skrywając ludzkie małości w cieniu białych latarni. Dziewczyna siedziała nieruchomo, ukryta w mroku, zbyt nieśmiała, aby przerwać milczącą obserwację. Jej wzrok był jak ostry nóż, który bez słowa rozcinał kolejne sceny miejskiego spektaklu.

Widziała mężczyznę. Drogi garnitur opinał jego sylwetkę, skrojoną z zimnej, bezwzględnej elegancji. Szedł szybkim, nerwowym krokiem, teczka uderzała rytmicznie o jego kolano, wybijając ponury marsz egoizmu. Co chwila bezwiednie odpychał innych, ledwie muśnięciem, ale każdy ruch był naznaczony nieukrywaną pogardą. Nawet nie zaszczycił nikogo przeprosinami.

Widziała kobietę z wózkiem. Dziecko w środku drżało, coraz głośniejszymi wydzielnymi jękami płaczu. Matka nawet nie drgnęła – jej głos, ostry jak brzytwa, rozciął powietrze: „Ucis� się!” Słowa rozerwały ciszę, echem odbijając się od obojętnych murów. Nikt nawet nie podniósł wzroku.

Widziała chłopca. Jego kroki znaczone były beztrąsnością dziecka i okrucieństwem, które już kielkowało. Kamień tańczył przed nim, przypadkowy towarzysz samotnego spaceru. Gdy w oddali dostrzegł bezdomnego skulonego przy zniszczonej ścianie, kopnięcie stało się mocniejsze, celniejsze. Kamień jak pocisk przeleciał, drapiąc starą, wyblakłą kurtkę biedaka. Nikt nie zauważył.

Widziała staruszkę. Jej słabe nogi, wsparte wyschniętą laską, ledwo unosiły się ponad brudny chodnik. Uszczypliwe uwagi siekły powietrze jak grudki błota: „Ktoż to widział, chodzić w takich ciuchach!”, „Ktoż to widział tak się zachowywać!”. Krytykowała wszystkich, wszystko – jej język był jak jadowity bat. Nikt jednak nie przyjmował do wiadomości jej słów.

Dziewczyna nadal tkwiła w swoim ukryciu. Łzy spływały po jej twarzy wolno, bezgłośnie – niczym smugi deszczu po zimnej szybie. W jej oczach rodziło się pytanie, które zdawało się być ciężarem większym niż cała ulica: "Dlaczego ludzie są tacy okrutni i obojętni?"



Wina

Wina towarzyszyła jej jak cień. Nieustannie, bezwzględnie, bez konkretnego powodu. Każdy oddech zdawał się być obciążony niewidzialnym ciężarem przewiny, której nie potrafiła nawet nazwać.

Patrzyła na świat przez pryzmat własnych wyrzutów sumienia. Gdy słońce świeciło jasno, myślała o tym, jak wielu ludzi cierpi. Gdy pada deszcz, czuła się odpowiedzialna za każdą kroplę, która może kogoś zamoczyć. Jej empatia przerodziła się w niszczący mechanizm samooskarżania.

Próbowała zrozumieć źródło tego uczucia. Czy to kara za myśli, które nigdy nie stały się rzeczywistością? Czy może echo jakiejś niespełnionej odpowiedzialności? Jej umysł krążył w nieskończonej pętli pytań bez odpowiedzi.

Nawet w momentach pozornego spokoju, w ciszy własnego pokoju, czuła ten nieznośny ciężar. Jakby sama egzystencja była dla niej źródłem przewiny. Każdy jej ruch, każda myśl stawała się potencjalnym oskarżeniem.

Nie wiedziała jeszcze, że wina to tylko złudna projekcja jej własnego strachu. Że życie nie jest wyrokiem, który należy odpokutować, lecz drogą, którą się podąża.

A jednak w tej chwili była więźniem własnych wyobrażeń. Samotną podróżniczką przez labirynt nieuzasadnionych wyrzutów sumienia.



Znudzona

W kółko to samo. Życie, które miało przypominać rwącą rzekę, zamieniło się w bezustanną karuzelę powtarzalnych zdarzeń. Każdy dzień był jak wyblakła kopia poprzedniego – te same twarze, te same gesty, te same rozmowy, które mogła przewidzieć, zanim jeszcze zostałyby wypowiedziane.

Siedziała w swoim mieszkaniu, wpatrzona w okno, gdzie świat za szybą wydawał się być jedynie bladą projekcją rzeczywistości. Monotonia wsiąkała w jej skórę jak wilgoć, paraliżując pragnienia i nadzieję. Podstawowe czynności – poranna kawa, której smak zatęchł już dawno, mechaniczny spacer wieczorem, rutynowe spotkania – stały się pustymi rytuałami pozbawionymi znaczenia.

Mogła z przerażającą dokładnością przewidzieć każdą rozmowę. Ludzie wokół niej byli jak nakręcane zabawki, poruszające się według z góry ustalonego scenariusza. Ich słowa, gesty, reakcje – wszystko było boleśnie przewidywalne. Czowała się jak reżyser spektaklu, który od lat ogląda ten sam, nudny spektakl.

Świat utracił dla niej treść. Jakby ktoś wymazał kolory, dźwięki, emocje, pozostawiając jedynie szary, bezbarwny szkielet egzystencji. Pozostawało jej tylko kręcenie się w kółko na tej karuzeli życia, próbując nie wypaść z niej w trakcie kolejnego, nudnego obiegu.

I wtedy pojawił się Nieznajomy.

Nie od razu mu zaufała. Jego nagłe wtargnięcie w jej monotonną rzeczywistość początkowo odebrała jak kolejną próbę zakłócenia ustalonego porządku. Ale był w nim ruch, energia, która powoli rozsadzała skorupę jej zubożenia.

Mówił inaczej niż inni – jakby każde zdanie było odkryciem, a nie wyświechtaną formułą. Jego głos miał w sobie metaliczną nutę nieoczekiwaności, która sprawiała, że po raz pierwszy od długiego czasu czuła, że coś może się zmienić. Nie wiedziała jeszcze co, ale samo przecucie zmiany działało jak zastrzyk adrenaliny w jej zniecierpliwione życie.

W jego oczach dostrzegła coś, czego nie widziała od lat – prawdziwą ciekawość świata. Nie cyniczny dystans, nie wypalenie, ale autentyczne pragnienie poznawania, odkrywania, doświadczania. I choć początkowo się broniła, wiedziała już, że to spotkanie może być początkiem czegoś zupełnie innego.

Czegoś, co wyrwie ją z tej dręczącej, bezustannej pętli.



Senna

Jej sny były jak mapy nieodkrytych terytoriów duszy. Każdej nocy wyruszała w podróż. W podróż podczas której wykraczała daleko poza granice rzeczywistości. To nie były zwykłe marzenia senne – to była wędrówka przez krajobrazy jej wnętrza, gdzie każda zatoka, każde wzgórze, każda rzeka miały swoje ukryte znaczenie. Mapy te nie były rysowane atramentem, lecz emocjami. Miały swoje góry zbudowane z niedowierzania, doliny pogrążone w cieniu wątpliwości, rzeki płynące siłą niezrealizowanych pragnień.

Niektóre terytoria były oswojone, inne dzikie i niezbadane. Były zakątki, do których bała się zajrzeć nawet we śnie – miejsca zranień, strachu, ukrytych obaw. Jednak istniała również przestrzeń jasna, pulsująca nadzieją, gdzie czekała na nią jej prawdziwa siła. Te sny nie były tylko obrazami, lecz podróżą – podróżą bez początku i końca, dziejącą się tu i teraz, w każdym oddechu, w każdej sekundzie jej istnienia.

Na łące czuła się wolna jak wiatr. Trawy delikatnie kotływały się wokół niej, a każdy krok przypominał rozmowę z ziemią. Bosymi stopami chłoneła energię płynącą z jej głębi – pradawny, cichy puls życia, który istniał na długo przed nią i przetrwa długo po jej odejściu. Każdy krok był modlitwą, każde muśnięcie trawy – wyznaniem. Nie była już tylko obserwatorką; stała się częścią żywego organizmu, który oddycha, czuje i pamięta.

Kwiaty oplatały się wokół jej kostek jak intymny dotyk, delikatnie ocierając się o skórę. Motyl przysiadł na jej ramieniu – ulotny jak myśl, delikatny niczym najcieńsza nić porozumienia między światami. Wiatr rozczesywał jej włosy, jakby była córką nieba i ziemi, istotą zrodzoną z żywiołów. Liście traw szeptały sekrety starsze niż ludzka pamięć, a krople rosy na płatkach kwiatów przypominały lustra, w których odbijała się jej prawdziwa, nieokiełznana natura.

To było połączenie głębsze niż dotyk, głębsze niż słowa. Była kroplą w oceanie życia, który płynął przez nią i wokół niej – całkowicie wolna, całkowicie zjednoczona.

Nieznajoma pojawiała się zawsze niespodziewanie. Kobieta bez twarzy, a jednak tak znajoma – jakby była odbiciem jej własnej duszy, cieniem niedostrzeżonej dotąd siły, lustrem skrytych pragnień. Nie miała wyrazistych rysów, lecz była bardziej realna niż ktokolwiek, kogo kiedykolwiek spotkała. Jej kontury były płynne, zmieniały się w rytm muzyki, która wypełniała przestrzeń – najpierw cicha, ledwie słyszalna, jak delikatne mruczenie, a potem coraz głośniejsza, aż stawała się niemal namacalnym żywiołem.

Gdy dźwięki piosenki oplatały przestrzeń, zaczynały tańczyć. Ich ruchy były jak poetycki dialog ciał – język bez słów, opowieść bez początku i końca. Nie był to zwykły taniec, lecz manifest wyzwolenia, sprzeciw wobec wszystkiego, co ją więziło. Każdy obrót był buntem – przeciwko lękom, ograniczeniom, cudzym oczekiwaniom. Każdy krok był wyzwoleniem – z więzienia własnych myśli, z kajdan cudzych wyobrażeń, z mapy cudzych możliwości.

Nieznajoma pochłaniała jej ruchy, rozciągała granice tego, co możliwe. Ich ciała plotły opowieść o wolności – dzikiej, nieokiełznanej, pozbawionej lęku. To była bitwa i miłość, sprzeciw i akceptacja, krzyk i szept – wszystko jednocześnie. W tym tańcu rodziła się jej prawdziwa siła.

W najgłębszej warstwie snu rodziła się jej moc. Nie była to siła niszczenia, lecz siła rozumienia – delikatna jak pierwsza wiosenna zieleń, a jednocześnie mocniejsza od kamienia. Widziała zło świata – obojętność, która zabija ciszej niż krzyk, krzywdę ukrytą w pozorach normalności, cierpienie wtłoczone w ramy codzienności. I wiedziała, że zmiana nie jest gwałtownym aktem rewolucji, lecz subtelnym przebudzeniem świadomości.

Zmiana zaczynała się od niej samej. Od pierwszej myśli, która kwestionowała zastany porządek. Od pierwszego gestu sprzeciwu – najpierw ledwie zauważalnego, jak drgnięcie rzęs, potem coraz bardziej stanowczego. Jej siła rodziła się w ciszy, w momentach pozornego bezruchu, gdy świadomość rysowała mapy nowych możliwości.

Kiedy się budziła, świat wydawał się inny. Mniejszy – nie dlatego, że był mniej znaczący, lecz dlatego, że ona stawała się większa. Bardziej oswojony – nie dlatego, że był prostszy, lecz dlatego, że zaczynała rozumieć jego mechanizmy. Granica między snem a jawą stawała się płynna, jakby nocne podróże zostawiały ślady w rzeczywistości. Każdy sen był jak kropla farby wpadająca do szklanki wody – zmieniająca cały krajobraz.

Sny były mapami nieodkrytych terytoriów duszy. Przewodnikami przez labirynty możliwości. Kluczami do zrozumienia siebie – nie takiej, jaką chcieli widzieć inni, lecz takiej, jaką naprawdę była. Były głębokim oddechem przed skokiem, ciszą przed pierwszym dźwiękiem, przestrzenią między myślą a jej realizacją.

I choć świat wokół pozostawał pozornie taki sam – te same ulice, te same twarze, te same rutynowe gesty – ona wiedziała, że się zmienia. Że zmiana nie musi być hałaśliwym aktem, lecz może być cichym, nieustannym procesem. Że w każdej chwili może wyrwać się poza to, co znane. Poza granice, które wcześniej wydawały się nieprzekraczalne.

Że może wszystko.

Nie dlatego, że była fizycznie silna, lecz dlatego, że nauczyła się słuchać własnego wnętrza. Zrozumiała, że prawdziwa moc nie polega na zawojowaniu świata, lecz na odkryciu siebie.



Szcześliwa

Kiedyś była cieniem samej siebie. Teraz każdy poranek witała jak dar, każdy oddech był cudem. Jej życie niegdyś było jak fotografia w sepii - blade, pozbawione kolorów. Dzisiaj tryskało intensywnością.

Poranne spacerowanie stały się rytuałem. Chrupanie liści pod stopami przypominało delikatną symfonię przemijania. Każdy dźwięk - od ledwo słyszalnego szepotu wiatru po donośny śpiew ptaków - stawał się częścią jej własnej opowieści. Nauczyła się słuchać świata, który wcześniej był tylko tłem.

Fotografowanie stało się jej sposobem na rozumienie. Przez obiektyw patrzyła na świat inaczej - dostrzegała piękno w asymetrii, sens w przypadkowości. Ludzkie ciało przestało być dla niej zbiorem niedoskonałości, a stało się mapą doświadczeń, krajobrazem opowieści.

Pisanie było jej terapią. Czarny tusz spływający po kartce był jak strumień świadomości. Jednego dnia rodziły się w nim mroczne fantazje, innego - delikatne wspomnienia. Każde słowo było kawałkiem układanki, która stopniowo składała się w obraz jej własnego ocalenia.

Przeszłość nie zniknęła. Była jak blizna - widoczna, ale już nie boląca. Nauczyła się, że doświadczenia nie definiują jej, a jedynie opisują drogę.

I choć wiedziała, że życie to nieustanna podróż, tym razem była gotowa, by być kapitanem własnego statku.



Postowie

Uff... Całkiem emocjonalna była to podróż, nieprawdaż?

Nie wiem do końca, co powinno znaleźć się w postowiu, nigdy wcześniej nie dotarłam do tego etapu pisania książki.

Opowiadania, które właśnie czytałeś są dla mnie moimi najlepszymi dziełami. Nie są idealne, mogłyby być lepsze, ale ładunek emocjonalny, jaki mi dostarczają jest niewyobrażalny. Mam nadzieję, że ty te emocje wychwiciłeś, starałam się oddać je najwierniej jak potrafię.

Na koniec chciałabym podziękować kilku osobom, bez których ta książka by nie powstała. Dziękuję serdecznie: mojej kochanej C. za to, że jest; przemilemu Panu A., który zawsze we mnie wierzył i wszystkim, którzy znajdując się na mojej drodze ukształtowali mnie jako człowieka.